

K E L L Y C R E A G H

Przekład: JACEK DREWNOWSKI



„Martwą ciszę wiercąc wzrokiem, nie ruszyłem się ni krokiem,
Tylko drżałem, śniąc na jawie sny, o jakich nie śnił nikt”.

- Edgar Allan Poe, *Kruk* (przełożyła Jolanta Kozak)

Mamie, która zawsze zachęcała mnie, bym śniła
(nawet przerażające sny)

Tytuł oryginału: *Nevermore*

Text copyright © 2010 by Kelly Creagh

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Fotografie wykorzystane na okładce: © KHIUS/Shutterstock.com,

© andreiu88/Shutterstock.com

Redakcja: Barbara Kaczarowska

Korekta: Aneta Szeliga, Agnieszka Zygmunt

Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-223-8

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: Grafarti

Wydrukowano na papierze CHB 60/2,4, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

PROLOG

PAŹDZIERNIK 1849

Edgar otworzył jedno oko, ale zaraz je przymrużył. Wagon zatrzęsł się i z dołu rozległ się przeciągły zgrzyt metalu o metal. Dźwięk wzniosł się ponad łoskot szyn, a potem zagłuszyło go buchanie dymu z komina. W końcu złał się z szumem szepców, które obudziły Edgara.

– Śpi?

Poczuł, że mięśnie mu tężeją. Bardzo się wysiłał, by zachować spokój, nie ruszać się, oddychać równo i miarowo.

Gdy przejeżdżali przez ostatni tunel, świat znowu pociemniał, a on wyczuł ich ponowną obecność. Demony. Wróciły. Zawsze wracały. Aby przeciągnąć go z tego świata do innego.

Przeszedł go dreszcz. Pozwolił, by powieka opadła.

– *Obserwujcie go* – wychrypiał inny głos. – *Wsiądnijcie do następnego pociągu.*

Dłoń Edgara zadrżała. Pot gorączki stał się teraz zimnym potem lęku. Perlił mu się na szerokim czole i spłynął na skroń.

Nie mógł z nimi wrócić. Nie teraz, gdy był już tak bliski ostatecznego zerwania więzi z ich światem – jej światem. Dobiegł go ostry dźwięk odsuwanych drzwi przedziału i ośmielił się ukradkiem jeszcze raz unieść powiekę.

Tęgi mężczyzna w dopasowanym mundurze wcisnął się do środka. – Dojeżdżamy do Baltimore – oznajmił łagodnym, monotonnym głosem. Edgar wiedział, że tamten nie ma pojęcia o jego prześladowcach, o ich groteskowych uśmiechach i diabelskich pazurach.

Konduktor ruszył dalej. Edgar zwietrzył swoją szansę. Zgarbił się, wykorzystując szeroką sylwetkę funkcjonariusza, by zasłonić swój ruch, gdy zsuwał się z siedzenia. Instynktownie zacisnął dłoń na trzcinowej lasce doktora Cartera, którą przemyślnie podmienił, by wejść w jej posiadanie. Tę, w której drzemało lśniące, srebrzyste ostrze.

Koła znowu zapiszczwały. Pociąg bez ostrzeżenia zatrząśł się i zatrzymał.

Edgar zachwiał się i głośno krzyknął. Złapał równowagę, chwytając krawędzie drzwi, i odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak puste spojrzenia prześladowców unoszą się i napotykJą jego wzrok.

Puścił się biegiem.

Wymknęli się za nim, a ich gniewne szepty brzmiały teraz jak strumień gnanych wiatrem liści.

Minął sąsiedni przedział, potem następny. Przejście przed nim robiło się coraz węższe, gdyż podróżni zbierali swoje rzeczy, ślepi na potwory podążające jego śladem. Gdy zaczął się przepychać, niemal przewracając jakiegoś jegomościa na podłogę, ktoś krzyknął.

Dotarł do najbliższych drzwi i wypadł na zewnątrz. Zatoczył się na peronie, omal nie wypuszczając z dłoni laski doktora. Mocniej chwycił srebrną rączkę, korciło go, by wyciągnąć ukrytą w środku klingę, choć w takim tłoku.

Z przenikliwym sykiem lokomotywa wypuściła kłęb pary. Edgar skrył się w tym obłoku i nasunął kaptur płaszcz.

Patrzył, jak stwory wylaniają się z pociągu, a ich kształty rozmawiają się w miazmatycznych zwojach czerni. Wylały się najpierw przez

drzwi i zaczęły się klębić wraz z parą, by po chwili z powrotem połączyć się w całość.

Wysokie, chude, szalone demony trzymały się w grupie tylko przez chwilę, po czym rozproszyły, by ruszyć na poszukiwanie.

Edgar wmieszał się w tłum. Przedzierał się przez morze niczego nieświadomych podróżnych, skupiając się jedynie na pociągu, który mógł go zawieźć z powrotem do Richmond. Na jedynej nadziei, która tam czekała.

Dotarłszy na drugi peron, zaczął zwlekać, odwrócony plecami do tłumy. W momencie gdy konduktor krzyknął: „Proszę wsiadać!” – Edgar złapał poręcz i podciągnął się.

– *Tam!* – Usłyszał warkot jednego z nich.

Popędził do przedziału, oglądając się raz – tylko raz – by zerknąć przez ciemne okna. Tak, podążały za nim, ścigały go niczym piekielne ogary!

Dopiero gdy usłyszał sapanie parowozu, otworzył najbliższe drzwi i wyskoczył z jadącego pociągu z powrotem na peron. Chwiejąc się na nogach, pochylony, pognął w tłum, podczas gdy za nim pociąg ciężko dyszał i nabierał prędkości, wioząc jego prześladowców.

Wiedział, że niedługo dadzą się zwodzić.

Nieważne. Istniały inne sposoby, żeby dotrzeć do Richmond.

Edgar przepchnął się przez ciżbę i wy dostał się na ruchliwą ulicę, gdzie przywołał powóz.

– Do portu! – krzyknął i zastukał laską w tylną ścianę, zamykając za sobą drzwi.

Powóz zatrząsł się, zaturkotał i potoczył naprzód.

Jeśli to możliwe, proponowałabym: Rozparty w środku Edgar pozwolił sobie na głęboki oddech. Przyłożył drżącą rękę do spoconego czoła, gdzie za lewym okiem odezwał się tępy, pulsujący ból.

Pojazd kołysał się, sunąc powoli wąskimi ulicami, a ból w głowie ustąpił niebawem miejsca osobliwemu, lecz znajomemu mrowieniu. Zawładnęło nim, przenikając jego zmysły niczym nieznośne, choć lekkie, ciarki zdrętwiałej kończyny.

Edgar powoli opuścił dłoń.

Przeniósł wzrok na zmieniające się cienie po prawej stronie.

Obok niego siedziała ona, jej smukły kształt spowity był świetlistą, białą tkaniną.

– Nie – szepnął.

Ale otaczająca ciemność zaczęła już wzmacniać uścisk.

Opatulała go jak płachta materiału, a gdy jej zimna niczym marmur dłoń ujęła jego rękę, poczuł, że mrok zawładnął nim jak nigdy wcześniej.

W jednej chwili ciemność pochłoniął go, pozostawiając pusty powóz.

1

ZADANIE

Pod koniec czwartej lekcji szum w głowie Isobel, wywołany dużą poranną latte, już dawno ustąpił. Ziewnęła, czując, że zbliża się klęska, i poruszyła się na krześle, podczas gdy pan Swanson nawijał monotonicznie o zielonookim potworze, o Desdemonie, wždy, zaiste i zaprawdę. Raz za razem poprawiała spiralny wzór, który dosłownie wyryła już na niebieskiej okładce zeszytu.

– To wszystko – powiedział pan Swanson, zamykając wreszcie swój bardzo gruby podręcznik dla nauczycieli. Cała klasa poszła za jego przykładem i rozległ się jednobrzmiały trzask. – W poniedziałek tematem naszej dyskusji będzie Jago i jego rzekoma uczciwość.

Isobel wyprostowała się na krześle, odgarnęła jasne włosy i z rozkoszą zamknęła książkę.

– Zaraz, zaraz – powiedział nauczyciel ponad szmerem i szuraniem krzeseł. Uniósł ręce, po czym je opuścił, jakby ten gest miał moc zatrzymania klasy w bezruchu i przywrócenia wywołanego literaturą elżbietańską otępienia, które za jego sprawą ogarniało wszystkich.

Uczniowie, którzy marzyli o obiedzie i zaczęli już wstawać z miejsc, opadli na nie z powrotem, a ich zadki połączyły się z krzesłami niczym magnesy. Plecaki zsuwały się z ramion, a podbródki z powrotem opierały się na dłoniach.

„Można się było spodziewać”, pomyślała kwaśno Isobel. Swanson nigdy nie puszczał ich przed czasem. Nigdy. A na pewno nie kwadrans przed czasem.

– Poczekajcie i nie denerwujcie się na mnie, moi drodzy – ostrzegł, biorąc stos kartek, które dla Isobel miały podejrzaną wykład świeżo wyjętych z kopiarki.

– Uwaga na materiał, który teraz rozdaję – dodał, po czym polizał palec i zaczął kartkować kilka pierwszych egzemplarzy. Następnie cofnął dłoń i wziął kolejny plik, a potem jeszcze jeden.

Isobel pobladła, widząc, jak kartki zbliżają się do niej. Miała nadzieję, że trafi jej się egzemplarz, na którym znalazło się stosunkowo niewiele śliny nauczyciela.

– Zwlekaliśmy z tym już wystarczająco długo – westchnął z udawanym żalem. – Jestem pewien, że starsi was przed tym ostrzegali. No i proszę. To jest to. Moim zdaniem lepiej mieć to za sobą już na początku roku. Tak, zgadliście. Projekt Swansona. – Ostatnie słowa wygłosił tonem radosnym (nawet entuzjastycznym), a pod jego sztywnymi szarosiwymi węsami pojawił się uśmiech.

Z różnych miejsc w klasie podniosły się jęki, zaś jęk Isobel uwiązł jej w gardle.

Takie projekty zajmowały czas. Dużo czasu.

– To będzie praca zespołowa – ciągnął Swanson. – Termin na ostatni piątek miesiąca. To Halloween, informuję tych z was, którzy nie mają pod ręką swoich iPhone’ów, BlackBerry, Jojo czy innych kalendarzy... Mam nadzieję, że nikt nie ma, dla waszego własnego dobra.

Nuda, od której jeszcze przed chwilą kończyły Isobel stały się ociężałe, a umysł się rozleniwił, zniknęła teraz niczym płaszcz magika.

Zaraz. Powiedział: „Halloween”? A właśnie, gdzie on miał swój kalendarz? Czyżby nie wiedział, że to data meczu futbolowego

z Millings? Opanuj się, Swanson. Oddychaj. Wciągaj to, co nazywamy powietrzem.

Jej palce mocniej zacisnęły się na długopisie. Nie odrywała wzroku od nauczyciela angielskiego, zresztą wszystkie odbiorniki ustawione były teraz na kanał Swansona.

– Ten projekt – powiedział – będzie się składał zarówno z prezentacji, jak i szczegółowego wypracowania na dziesięć stron. Chcę, żeby każda para pracujących razem uczniów wybrała sobie znanego amerykańskiego pisarza. Dowolnego. Ale żeby iść z duchem Halloween, niech będą to autorzy nieżyjący, dobrze? Innymi słowy, Stephen King, Heather Grahams czy James Patterson nie wchodzi w grę. Poza tym zadanie należy w całości wykonać poza szkołą, bo w tej chwili jesteśmy w połowie *Otella*.

Dziesięć stron? Dziesięć stron! Ogrom pracy. Zupełnie jak... cholerny adres gettysburski. Czy Swanson naprawdę miał zamiar siedzieć i czytać te wszystkie kartki?

„Pewnie tak”, pomyślała. „I będzie zachwycony każdą chwilą lektury”.

Nie rozumiała tego.

Czemu Swanson musiał zadawać im ogromną pracę z terminem w dniu ważnego meczu? W tym tygodniu nigdy nic się nie robiło. Mógł przynajmniej dać im jeszcze weekend.

Zawsze ją to zdumiewało: nauczycielom najwyraźniej wydawało się, że uczniowie nie mają żadnego życia poza szkołą. Nie docierało do nich, że po powrocie do domu z treningu czirliderek, po zjedzeniu kolacji i nabazgraniu czegoś na stercie prac domowych, które wcześniej jej zadano, w zasadzie nadchodziła już pora na spanie.

Isobel szybko rozejrzała się po klasie. Musiała zlokalizować jakiegoś prymusa, i to szybko.

Zwróciła wzrok na Julie Tamers, wybitną kujonkę pierwszego stopnia, i zaczęła układać w myślach strategiczną trasę w stronę pustego krzesła obok niej, gdy pan Swanson znowu się odezwał.

– Dla waszej wiadomości – zaczął, z dziennikiem w dłoni, opuszczonym podbródkiem i drucianymi okularami wspartymi na czubku nosa – w tym roku wprowadzam pewne nowości z nadzieją, że zarówno poszerzy to wasze horyzonty, jak i poprawi ogólne wyniki pracy. Chcę przy tym zastrzec, że wszystkie pary zostały dobrane losowo. Kiedy odczytam nazwiska z listy, możecie usiąść razem, urządzić burzę mózgów, a potem iść na obiad. Na początek Josh Anderson i Amber Ricks.

Isobel poczuła, że opada jej szczęka.

„Zaraz”, pomyślała. „Zaraz. Losowane pary to były w trzeciej klasie. Nie mógł mówić poważnie”.

– Katlyn Binkly i Alanna Sato – ciągnął. – Dalej mamy Todda Marksa i Romelle Jenkins.

Wokół niej ci, których nazwiska już wyczytano, wstawali z miejsc i szli do przydzielonych partnerów. Isobel siedziała oszołomiona ich zapalem. Naprawdę? Tylko ona odczuwała palącą niesprawiedliwość? Czy nikt inny nie zamierzał się odezwać?

– Isobel Lanley i Varen Nethers.

Ścisnęło ją w piersi.

Och!

O nie! Nie ma mowy.

Powoli odwróciła głowę i z ociąganiem popatrzyła w przeciwną stronę klasy. Siedział w ostatnim rzędzie, skulony na swoim krześle, i patrzył prosto przed siebie przez potargane atramentowe kosmyki. Na szczupłych nadgarstkach miał paski czarnej skóry, nabijane groźnymi z wyglądu srebrnymi ćwiekami.

Niemożliwe, że to dzieje się naprawdę.

Zapomniała o głodzie i zamiast niego czuła teraz gryzący niepokój, zastanawiając się, które z dziwacznych plotek na jego temat są prawdziwe. Przez chwilę poważnie się zastanawiała, czy nie poprosić o kogoś innego do pary, ale знаła Swansona i zdała sobie sprawę, że nie przejmie się tym bardziej niż mielonym ze stołówki.

A może... Może wcale nie będzie tak źle. Gdy jednak jeszcze raz rzuciła na niego okiem, od razu zmieniła zdanie.

Zasłonięty kotarą farbowanych na czarno włosów, nawet nie zauważył jej obecności, nie mówiąc już o fakcie, że – halo! – mieli korzystać z danego im czasu, by rozmawiać o tym koszmarnym zadaniu.

Zastanawiała się, czy powinna wstać i do niego podejść, skoro wyglądało na to, że on nie ma najmniejszego zamiaru ruszyć w jej kierunku.

Zrezygnowana Isobel podniosła się i wzięła zeszyt. Zaczęła szukać dłonią paska plecaka, podczas gdy w myśli powtarzała wszystkie pogłoski krążące na temat Varena. Mówiono, że czasami rozmawia sam ze sobą, że uprawia czary i że ma złe oko wytatuowane na lewej łopacie. Że mieszka w podziemiach opuszczonego kościoła. Że sypia w trumnie.

Że pije krew.

Podeszła do niego spokojnym krokiem, tak jak ktoś mógłby się zbliżyć do śpiącego węża.

Zgarbiony na krześle, z jedną ręką wspartą na ławce, wyglądał jak długa linia czerni. Znoszone, ciasno zasnurowane bucioro skrzyżował na wysokości kostek. Pod prawą ręką miał wyświechtany czarny brulion w twardej oprawie – kilka razy widziała, jak pogryzał się w lekturze podczas lekcji.

Właściwie zawsze wydawało się, że coś notuje albo szkicuje na jego stronach, choć mogła się jedynie domyślać, co to takiego. A może



wszystko zdawało się takie dziwne również dlatego, że Swanson nigdy go nie beształ, tak jak nigdy nie kazał mu czytać na głos ani nie wywoływał go odpowiedzi. Co samo w sobie też było dziwne, bo nikt nigdy nie zwrócił na to Swansonowi uwagi.

Isobel zatrzymała się w bezpiecznej, niemal półtorametrowej odległości. Czekala, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Co miała powiedzieć? „Czołem, partnerze”?

Zerknęła na zegar na ścianie. Do przerwy obiadowej zostało siedem minut.

„Ooobciach”, pomyślała, gdy dalej siedział i gapił się w przestrzeń, jakby wcale nie istniała. Jego entuzjazm był niemal zaraźliwy.

– Słuchaj, nie odwalę całej roboty sama – powiedziała w końcu, postanawiając przełamać dość grube lody „za pomocą młotka o wdzięcznej nazwie „Nie myśl sobie”.

Nawet nie drgnął, ale się odezwał.

– Powiedziałem coś takiego?

Dźwięk jego głosu ją zaskoczył. Zupełnie jakby podejrzewała, że chłopak jest odlany z wosku. Głos miał spokojny, niski i rozsądny, wcale nie opryskliwy, czego się spodziewała. Nigdy dotąd jednak nie odezwał się w klasie. Nigdy, na pewno dobrze pamiętała.

– Nie – przyznała, tężejąc i pragnąc jedynie wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Pomyślała, że Nikki nigdy w to nie uwierzy. Żeby ona była w parze z królem gotów? To ci dopiero wiadomość. – Pomyślałam tylko, że ci powiem... no bo wiesz, ty nic nie mówisz.

Czuła się głupio jako ostatnia osoba w pomieszczeniu, która jeszcze stała, w końcu więc zajęła miejsce obok niego, spojrzeniem omiatając klasę.

W pojedynczych grupkach rozległ się cichy szmer, który przybrał na sile, gdy wszyscy zaczęli przerzucać się pomysłami. Po wymianie

zapisanych kartek z zeszytu dwie pary nawet już wstały i wyszły. A ona wciąż tkwiła w tym samym miejscu, próbując się porozumieć z żywym trupem.

Zacisnęła zęby.

Nabrała podejrzeń, że oświadczenie nauczyciela, jakoby wszystkie pary dobrano „losowo”, było jedną wielką ściemną. To pewnie był jego swoisty dowcip, zemsta za to, że nie oddała tego głupiego wypracowania o *Don Kiszocie*.

– Skoro już wykładamy kawę na ławę, że tak powiem – przemówił, z powrotem przyciągając jej uwagę do ich wycinka przestrzeni w kącie klasy. Dziwnie było słuchać jego głosu. – Też nie zrobię tego sam.

Odwrócił głowę i pochwycił ją wzrokiem.

Zamarła, zdumiona intensywnością tego spojrzenia. Oczy miał surowe i zimne, zielone niczym błady nefryt. Podkreślone rozmazanim czarnym cieniem powieki, nie mrugały, gdy wpatrywał się w nią przez pierzaste kosmyki czarnych jak smoła włosów. Miała wrażenie, że przygląda się jej zadowolony z siebie i wyrachowany kot.

Wezbrało w niej zakłopotanie, gęste i czarne niczym złożę ropy naftowej.

Kim był ten facet i z czym miał problem? Jej spojrzenie podążyło na krótką chwilę do metalowego kółka, które oplatało kącik jego dolnej wargi.

Mrugnął powiekami, po czym powoli uniośł dłoń i zgiął palec w przyzywającym geście.

Zawahała się, lecz potem, posłuszna niczym pod wpływem zaklęcia, nachyliła się nad nim.

– Na co się gapisz? – szepnął.

Cofnęła się, czując żar na twarzy. Odwróciła się od niego i podniosła rękę. „SOS, Swanson. Słyszysz mnie?”.

Za nią rozległ się szczełk łańcuchów. Zesztywniała. Opuściła rękę, a potem, podniósłszy wzrok, zobaczyła go nad sobą, wysokiego, wyprostowanego i bladego.

Stłumiła w sobie słowa protestu, gdy ujął jej rękę. Patrzyła, jak długie palce oplatają jej dłoń, a potem, nie mrugając powiekami, obserwowała czarny długopis, który pojawił się nie wiadomo skąd i zaczął przesuwac się po jej skórze czubkiem równie zimnym i ostrym, jak te oczy.

O mój Boże. Pisał na niej.

Próbowała wydać jakiś dźwięk, ale nie mogła.

Jego twarz nie wyrażała emocji, gdy wykonywał długopisem krótkie, staranne pociągnięcia. Nacisk kulki długopisu łaskotał, zaciskając węzły w jej żołądku.

Mogła tylko patrzeć na pierścień w kształcie srebrnego smoka, szczyrzącego się do niej z jego środkowego palca.

Gdy wreszcie skończył, puścił jej dłoń i po ostatnim, jakby strofującym ukłuciu ostrego spojrzenia, odwrócił się. Wziął swój czarny brulion, po czym przewiesił przez ramię sfatygowaną skórzaną torbę.

– Nie dzwoń po dziewiątej – powiedział, włożył sobie długopis za ucho i wymaszerował z klasy.

Twarc Isobel płonęła. Czuła mrowienie tam, gdzie jej dotknął, ledwie wyczuwalnym dreszczem – nie miała pewności, czy sobie tylko tego nie wyobraża. Jakby koniuszki jej palców w jakiś sposób zapadły w sen.

Spróbowała wszystko ogarnąć, najpierw swoje zmysły, a potem osoby, które pozostały w klasie. Bała się zobaczyć, czy ktoś to zauważył, i ze zdziwieniem stwierdziła, że chyba nikt. Nawet Sokole Oko Swanson wrócił do swojego biurka, gdzie siedział, żując kanapkę i przeglądając szkolną gazetkę „Głos Jastrzębia”.

Isobel opuściła wzrok na swoją dłoń.

Wykonany ciemnofioletowym tuszem napis głosił: V – 555-0710.